

MATYLDA SERAO

## UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA  
MARYJA TOCZYSKA

38

I.

Teraz jest już wolny! Teraz już nikt przeszkadzać mu nie będzie w poszukiwaniach! Przybywszy do Paryża Alimena miał zamiar pozostać tam kilka tygodni. Skrócił jednak swój pobyt. Uzbrojony w listy polecające do dyrektora policji, udał się do niego, aby wspólnie omówić plan poszukiwań, które miał na widoku.

Po długiej rozmowie, dyrektor oświadczył mu, że na razie nie jest w stanie użyć mu do pomocy żadnego ze swoich tajnych detektywów, gdyż wszyscy zajęci byli przeprowadzeniem bardzo ważnej i skomplikowanej sprawy na miejscu. Dodał jednak że o ile Alimena poczekać może — za dwa tygodnie odda mu do usług, dwóch wybitnych agentów, którzy mu pomogą do odszukania garbusa o zielonych oczach. Alimena podziękował grzecznie. Nie mógł sobie pozwolić na żadną zwłokę, bo każdy dzień był dla niego drogi. Na drugi dzień siadał już na parowiec idący z Calais.

Podczas przejazdu z Calais do Douvres, dziwne uczucie dręczyło Roberta Alimena. Miał wrażenie, że otacza go zacieśniająca się coraz więcej wokół niego atmosfera ukrytej tajemnicy, która wybuchnąć może lada chwila i zakończyć się fatalnym, nieodwołalnym dramatem. Było to, to samo, lecz silniejsze uczucie, jakie odczuwał w Rzymie ilekroć pojawił się na ulicy w towarzystwie przyjaciela swojego Lamberlini'ego. Kiedy w pewnej chwili zdrzemnął się w swojej kajucie, miał szczególną halucynację. Zdawało mu się, że widzi stojącego przy sobie garbusa, podczas kiedy jakaś wysmukła sylwetka kobieca oddalała się od niego powolnym krokiem. Nie mógł tylko rozeznąć rysów tej kobiety. Dojrzał tylko spojrzenie, spojrzenie nieskończenie smutne i łagodne i rękę białą czyniącą mu jakieś znaki.

Obudził się ze sercem silnie bijącym, poruszony niespokojnie tem widzeniem.

Alimena pozostał dwa dni w Londynie. I zaraz pierwszego dnia odnalazł jednego ze swoich przyjaciół, sekretarza Ambasady włoskiej, który poinformowany był już o jego sprawie i który ani na chwilę nie wątpił o jego niewinności. Robert w krótkich słowach opowiedział mu całe przejście, kładąc nacisk na konieczność odszukania swojego ukrytego nieprzyjaciela i wydarcia mu jego tajemnicy. Młody sekretarz wysłuchał wszystkiego z wielką uwagą i umówił się z Alimeną na dzień następny. Mieli się spotkać u pana Vincent dyrektora policji londyńskiej. Dyrektor, człowiek o twarzy surowej i myślącej, przyjął obydwóch młodych ludzi z obojętną grzecznością i nie zdradzał wcale ochoty do dłuższej rozmowy. Lecz kiedy Alimena nalegać zaczął chcąc otrzymać jakieś konkretne obietnice i informacje, ożywił się w końcu i potwierdził jego przekonanie, iż tylko detektywi angielscy zdolni są do przeprowadzenia szybko i dyskretnie podobnej sprawy.

Robert zapytał go wówczas, czy wolno jest detektywom angielskim poświęcić swoje usługi prywatnej osobie, co surowo wzbronione jest we Włoszech i co z trudnością uzyskać można we Francji. Dyrektor odpowiedział mu na to, że zdarza się to dosyć często w jego kraju, lecz że znakomici detektywi, są zawsze bardzo zajęci i że niepodobieństwem będzie znaleźć choćby jednego mniej obciążonego pracą w tej chwili.

— A jednak musi mi pan dać jednego ze swoich ludzi — oświadczył stanowczo Alimena, głosem, który zdradzał, że nie cofnie się przed niczem, aby tylko dogodził swojemu pragnieniu.

— Nie mam naprawdę ludzi wolnych obecnie — odpowiedział dyrektor. A czy zresztą chodzi tu o sprawę dostatecznie poważną?

— Tak, panie dyrektorze. Sprawa ta jest bardzo poważna.

— Nienawisć czy miłość? — zapytał zimno pan Vincent.

— I jedno i drugie — odparł Robert.

— Szuka pan rywala?

— Szukam mordercy.

— I kobiety?

— Tak — poszukuję również kobiety — lecz przede wszystkim muszę odnaleźć tamiego, zabójcę.

— Czy on ją zamordował?

— Być może, że usiłował to uczynić.

— Gdzie się znajduje ten człowiek?

— Nie wiem panie dyrektorze.

— Kto to jest?

— Nie wiem również.

— Czy ma pan chociaż jakie dane?

— Mam; ale to już leży w zakresie pańskiego detektywa, aby reszcie wyświecić.

— To poszukiwanie interesuje pana tylko?

— Nie. Chodzi tu o życie czterech osób.

— Ma pan słuszość — rzekł dyrektor uśmiechając się chłodno. Postaram się przyjść panu z pomocą.

— Dziękuję.

— Czy sądzi pan jednak, że te poszukiwania potrwać długo?

— To jest rzecz, którą określić nie można.

— Ale przecież...

— Może trwać równie dobrze tydzień jak i rok cały.

— Dobrze. Człowiek, który mógłby przysłużyć się panu nazywa się Dick Leslie.

— Mógłby? — obruszył się Alimena — Czy nie może zaraz?

— Jest bardzo zajęty w tej chwili. Poszukuje naturalnego syna pewnego lorda. Chodzi o testament i dziedzictwo kilku milionów.

— Czy przypuszcza pan, że ta sprawa długo trwać będzie — zapytał niespokojnie Alimena.

— Nie wiem — Dick Leslie, to człowiek nadzwyczajny! On poprosi czyni cuda.

— Jaka szkoda — westchnął Robert z rozczarowaniem. — Taki byłby mi właśnie potrzebny.

— Pan nie może czekać?

— Kilka dni załedwie.

— Miejmy nadzieję, że Dick powróci prędko.

— Miejmy nadzieję — powtórzył machinalnie Robert Alimena.

— Proszę mi wierzyć — dodał dyrektor zegnając się z nim i z markizem Billie, że jak tylko powróci, poszłę go natychmiast do pana.

— Dziękuję.

— Robert Alimena powrócił do swojego hotelu w niebardzo dobrym humorze. Wynik jego poszukiwań mógł być bardzo problematyczny. Przede wszystkim nie wiedział wcale kim był garbus o zielonych oczach i czym się zajmował. Widział go wszystkich dwa czy trzy razy i to w przelocie. To było wszystko! Oprócz tych drobnych, mało znaczących szczegółów i przekonania, że garbus jest żywym, Robert nie mógłby nic więcej powiedzieć Dickowi Leslie, gdyby ten się zjawił. Doprawdy, było to cokolwiek za mało do odnalezienia człowieka, który mógł się znajdować na innym krańcu Europy! Mało zaś posiadał wiary w niektóre informacje, dane mu pod pieczęcią tajemnicy przez Lamberlini'ego — nie pokładał również wielkich nadziei w profesorze Siloni Tomanti, który był tylko mędrcem odosobnionym od świata, pogrążonym w nauce, która pochłaniała zupełnie cały jego czas i uwagę. Szukać człowieka, w podobnych warunkach, było to samo, co szukać szpilki w kopie siana. To było istne szaleństwo — Ale Robert Alimena czuł się na siłach do przystąpienia do tego szaleństwa.

Spędził jeszcze dwa dni w hotelu Piccadilly, zatopiony w najdziwniejszych rozmyśleniach, kiedy trzeciego ranka oznajmiono mu przybycie kogoś, pragnącego się z nim widzieć. Owa osoba, jak się wyraził chłopak hotelowy, nie chciała powiedzieć swojego nazwiska ani celu wizyty. Robert, zawsze ostrożny i przygotowany na wszystko wyciągnął z etui maleńki, ładny rewolwer, zgrabny jak cacko i położył go na biurku, mówiąc chłopcu, aby wpuścił nieznanego. Był to człowiek młody jeszcze, silny, o twarzy otwartej i sympatycznej. Mógł mieć lat trzydzieści kilka. Twarz miał starannie wygoloną, co czyniło go podobnym do pastora. Ubranie miał na sobie czarne, skromne, ale bez zarzutu.

Wszedł pewnym krokiem i skłonił się przed Alimeną.

Robert zmierzyl go zimnem spojrzeniem i dojrzał w jego twarzy cechy tak często spotykane u spokojnych, uczciwych mieszczan londyńskich.

— Kto pan jesteś? — zapytał.

— Jestem osobą, którą Ekselencya żądała widzieć.

— Jaką osobą?

— Czy Ekselencya nie potrzebuje moich usług?

— Usług?

— Czy Ekselencya jest hrabią Robertem Alimena — zapytał z kolei przybyły.

— Tak.

— A więc wszystko w porządku. Ekselencya był przedwcześniej u dyrektora policji.

— Tak.

— I tam powiedziano, że stawię się jak tylko powrócę z podróży.

— A więc pan jesteście...

Dick Leslie, do usług — skłonił się dobrodusznie detektyw.

— Dick Leslie?

— Tak się zdaje. Dick Leslie, syn Boba Leslie i Margaret Bright urodzony w Londynie, na White-Chapel — zaśmiał się detektyw.

— To nie do wiary! — szepnął zdziwiony Robert.

— A jednak tak jest — oto moja karta i fotografia — oznajmił szczerze ubawiony detektyw wyciągając papiery z kieszeni.

Było to świadectwo policji londyńskiej świadczące, że Dick Leslie należał do niej. Nie mogło już być wątpliwości. To szczególne jednak jaką ten sławny detektyw miał minę dobroduszną i naiwną.

— Tak — wszystko w porządku — uśmiechnął się Alimena. Jesteś więc pan wolny?

— Jestem wolny, Ekselencyo.

— Czy odnalazł pan tego syna lorda? — zapytał Robert machinalnie lecz spostrzegł zaraz, że postąpił nierozważnie. Mówiono mi... tłómaczył się... dyrektor policji...

Dick Leslie spojrzał na niego z takim naiwnym zdziwieniem, że Robert zmieszał się jeszcze bardziej, lecz zaraz odzyskał zwykłą swoją zimną krew i przystąpił bez wstępów do swojej sprawy.

— Czy jest pan gotów przyjść mi z pomocą? — zapytał krótko.

— Oczywiście.

— Zależy mi na odnalezieniu jednego człowieka.

— Doskonale.

— Nie wiem jak się nazywa.

— Dobrze.

— Nie wiem, gdzie się znajduje.

— Słownie.

— Nie wiem nawet, czy to człowiek żyjący, czy też istota fantastyczna.

— Bardzo dobrze — powtórzył Dick Leslie i żaden muskuł nie drgnął na jego twarzy.

— Znajdzie go pan?

— Czy mam go odnaleźć żywym czy umarłym?

— Umarłym?

— Mógłbym panu wskazać jego grób — zaśmiał się wesoło Dick.

— Tem lepiej — ale niestety on żyje jeszcze.

— Czy Ekselencya wie coś o tym człowieku?

— Niewiele.

— Czy mogę zadać parę pytań.

— Oczywiście.

— Jak on wygląda?

— Ma około lat pięćdziesięciu...

— Mały — duży?

— Mały i garbaty.

— Garb ma na plecach, czy piersiach?

— Ogólnie garbaty.

— Piękny czy brzydki?

— Jakto? — piękny!

— Niektórzy garbaci ludzie nie są brzydki.

— Ten jest brzydki — bardzo brzydki —

istny potwór — wstrząsnął się Robert.

— Doskonale. Jakże znaki dalsze?

— Zielone oczy.

— Zielone? Całkiem zielone?

— Zupełnie zielone. Nie widziałem nigdy tak zielonych oczu!

— Doskonale! Co jeszcze?

— Ma twarz bladą, a na wargach i policzkach kilka rzadkich włosów nieokreślonego koloru.

— Gdzie go Ekselencya widziała po raz ostatni?

— W Rzymie, cztery miesiące temu.

— Był sam?

— Był z kobietą.

— Oh! tem lepiej.

— Tem lepiej!

— Tak — Kobieta młoda?

(Ciąg dalszy nastąpi).